

# Osmolak, Marian

---

## Dlaczego ja, harcerz z Gostynina, brałem udział w Powstaniu Warszawskim

---

Przegląd Pruszkowski nr 1, 57-66

---

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Marian Osmolak**  
Żołnierz Szarych Szeregów

## Dlaczego ja, harcerz z Gostynina, brałem udział w Powstaniu Warszawskim?

Po zakończeniu działań wojennych w 1939 r Niemcy część terenu Polski przyłączyli do Rzeszy, z części utworzyli Generalną Gubernię. Gostynin, w którym mieszkałem od urodzenia, znalazł się na terenie Rzeszy. Mieszkańcy Gasten, bo tak nazwali nasze miasteczko Niemcy, by wyjechać do Generalnej Guberni, musieli otrzymać zezwolenie od władz niemieckich.

Przed wojną byłem zuchem, jednak, gdy w Gostyninie powstało tajne harcerstwo, zostałem harcerzem Szarych Szeregów – do nas należał „mały sabotaż”.

Spotykaliśmy się w harcówce – tu przekazywano nam zadania, które mieliśmy wykonać.

Warunki były ciężkie. Mimo że byłem małym chłopcem (urodziłem się 29.05.1930 r.), pracowałem w gospodarstwie niemieckim. Do moich obowiązków należała opieka nad jedyną krową – pasłem ją, oporządzałem, doilem, odciągałem śmietaną od mleka, a z niej robiłem masło. Tych czynności nauczyła mnie babcia, do której jeździłem na wakacje.

Niemcy byli z mojej pracy zadowoleni, oprócz jedzenia dawali mi kilka marek, które odkładałem do skarbonki.

Nadszedł rok 1944 – lato...

Otrzymałem do wykonania trudne zadanie...

Moja najstarsza siostra mieszkała w Milanówku koło Warszawy. Miałem postarać się o zezwolenie na wyjazd do Generalnej Guberni w celu odwiedzenia jej. Mój gospodarz dał mi urlop

i załatwił pozwolenie na wyjazd. Otrzymałem urlop na dwa tygodnie (28.07 – 4.08). Dał mi na drogę 20 marek. Gdy załatwiłem formalności, otrzymałem polecenie napisane na serwetce „Godzinę <<W>>” opóźnić o dwa tygodnie, zamówioną broń dostarczymy tydzień wcześniej. W razie kontroli tę zapisaną serwetkę włożysz do kanapki i zjesz, nie umrzesz. Wiadomość zapamiętaj i przekaz księdzu w Katedrze na Starym Mieście” (dostałem na drogę kanapkę z szynką). Zrozumiałem. Rano pożegnałem się z Rodziną – starszy brat Janek (brał udział w wojnie w 1939 r.) ostrzegął mnie i prosił, bym uważał, bo może być gorąco.

Wsiadłem do pociągu. Wydawało mi się, że jadę bardzo długo, z nudów, przy miarowym stukaniu kół, drzemałem. Gdy pociąg zaczął zwalniać, wyjrzałem przez okno – pomyślałem, że nareszcie zbliżamy się do jakiegoś miasta, bo zobaczyłem zabudowania.

Towarzysz podróży, siedzący obok mnie, poinformował, że zbliżamy się do Łowicza – wstał i skierował się do wyjścia.

Na wszelki wypadek wyjąłem kanapkę i włożyłem w nią serwetkę złożoną kilka razy. Zacząłem powoli jeść – kanapka smakowała mi bardzo – tak wspanialej nie jadłem w życiu. Gdy pociąg się zatrzymał, jedni pasażerowie wysiedli, inni weszli – pociąg ruszył dalej. Do przedziału wszedł konduktor, a z nim mężczyzna ubrany po cywilnemu – byli w towarzystwie dwóch żołnierzy. Po sprawdzeniu moich dokumentów powiedział: *weiter fahren* (dalej jechać). Podziękowałem i nadal jadłem swoją kanapkę – nie czułem w niej serwetki...

Po pewnym czasie do przedziału, w którym siedziałem, przyszedł konduktor. Udzielił mi wskazówki, że mam wysiąść w Skierniewicach i tam wsiąść do pociągu, który będzie jechał do Warszawy. Po drodze jest Milanówek. Do Milanówka dojechałem o godzinie dziewiętnastej – Gdy stanąłem w drzwiach mieszkania mojej siostry, nie mogła uwierzyć, że to ja. Radość była ogromna. Opowiadaniom nie było końca – o rodzicach, o tym, jak żyjemy, ona też musiała mi mówić o warunkach w Generalnej Guberni,

o swojej rodzinie. Po kolacji poszliśmy spać. Należał mi się odpoczynek po tej długiej podróży.

Ranek 30 lipca przywitał nas słońcem.

Siostra przygotowała śniadanie i szykując się do pracy zleciła nam narąbanie drzewa, napompowanie wody do baniaka na strychu (to była mała wieża ciśnień – mieściło się w niej 400 litrów wody).

Po powrocie mojej siostry z pracy dostaliśmy „zasłużony obiad” jak powiedziała. Po obiedzie nie odpoczywaliśmy. Poszliśmy do sąsiada, który miał gospodarstwo – pomagaliśmy mu przy zniwach. Dzięki tej dodatkowej pracy mogła się jakoś utrzymać.

Powiedziałem siostrze, że przyjechałem do niej, ponieważ muszę przekazać pewną wiadomość księdzu, który mieszka przy katedrze na Starym Mieście. Nie pytała o nic. Powiedziała, że do Warszawy następnego dnia pojedzie ze mną Władek, jej najstarszy syn.

Rano następnego dnia, zaopatrzeni w duże kanapki i przestrogi mojej siostry, która zdawała sobie sprawę, że ja nie znam łapanek, strzelaniny i zachowań Niemców w Generalnej Guberni, pojechaliśmy EKD do Warszawy. Gdy wysiedliśmy z kolejki, byłem zachwycony – wysokie, czteropiętrowe domy, drapacz chmur – wszystko przyprawiało mnie o zawrót głowy. Gdy szedł patrol niemiecki Władek ostrzegał, bym nie rozglądał się, bo Niemcy mogą nas „drapnąć”. Nareszcie doszliśmy na duży plac – Władek wyjaśnił, pokazując gruzy, że tu stał zamek królewski, który został wysadzony przez Niemców, zresztą, jak wiele innych budowli.

Ucieszyłem się, gdy Władek wskazał mi kościół i powiedział, że to katedra, której szukam. Weszliśmy do środka – Przy ołtarzu była msza święta, w konfesjonale inny ksiądz spowiadał. Gdy skończył spowiadać podszedłem do niego i powiedziałem, że szukam księdza X. Powiedziałem, że przyjechałem z Gostynina – przekazałem mu treść, którą miałem na serwetce (którą zjadłem). Ksiądz, mimo że nie miałem żadnego dowodu, uwierzył mnie.

Po rozmowie z jakimś panem zaprowadził nas do pomieszczenia, w którym ze zdziwieniem zobaczyłem wielu wojskowych i cywilów z białą – czerwonymi opaskami na rękę. My otrzymaliśmy opaski i przydzielano do batalionu „Zośka”. Nie spodziewaliśmy się takiej sytuacji – naszym marzeniem był powrót do Milanówka, to jednak okazało się nie możliwe.

Pomagaliśmy przy budowie barykady.

W pewnym momencie usłyszeliśmy strzały i huk (chyba wybuch granatów) – to był początek powstania. Ci, którzy mieli opaski, otrzymywali broń. My nie otrzymaliśmy żadnej broni – było jej bardzo mało. Początkowo było duże zamieszanie; gdy przyszli dowódcy, zarządzili zbiórki.

„A wy kto?” spytał jeden ze starszych. Opowiedzieliśmy swą historię. Stwierdził „Aha, to już wiem, jesteście pod moim dowództwem, a to jest moja grupa i róbcie to co oni, czyli na razie barykady”.

A tam, gdzieś w mieście, słychać strzelaninę. Starsi mówią między sobą „to zaczęło się za wcześnie” Podłuchuję rozmowy starszych. Dowiaduję się z nich, że za Wisłą, na Pradze, stoją już Rosjanie, ale nie idą dalej, a tu z Niemcami, walczą powstańcy.

Chciałem walczyć. Miałem przecież już czternaście lat. Byli wśród nas młodszy. Nie było broni. Kazano nam zajmować się cywilami, szczególnie kobietami z dziećmi. Znalazłem chłopca 13-letniego, którego szukała matka. Miał na ramieniu białą – czerwoną opaskę. Na wiadomość, że szuka go mama, powiedział: „niech się mama nie martwi, po powstaniu się spotkamy, wiem, gdzie mieszkam”.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza – brak żywności, wody do picia, a rannych ciągle przybywało. Armata, zwana grubą bertą, umieszczona na wagonie w Pruszkowie, niszczyła domy, samoloty bombardowały, było wiele ofiar nawet wśród dzieci, rannych przybywało – ja takiej wojny w Gostyninie nie przeżywałem...

My (Władek i ja) opiekowaliśmy się pięciorgiem dzieci i czterema kobietami – nie mieli oni nikogo bliskiego na Starym Mieście – staraliśmy się, by mieli coś do jedzenia. Często, w obrębie Starego Miasta, biegaliśmy z meldunkami. Walki powstańców nie przynosiły większych efektów. Gdy zdobyli jakiś teren, przenosiliśmy się tam. Czasami zdobywali jedzenie, czasami broń. Widzieliśmy też prowadzonych Niemców, którzy dostali się do niewoli. A my z Władkiem marzyliśmy o tym, by po zwycięstwie Polaków i zakończeniu powstania wrócić do Milanówka.

Byliśmy pewni, że moja siostra, a mama Władka martwi się o nas. Dochodziły do nas hiobowe wieści. Według relacji ludzi, którzy przedostali się na Stare Miasto, Niemcy wprowadzili do walki bestialskie oddziały Ukraińców, które gwałcą kobiety i mordują dzieci.

Straciliśmy poczucie czasu. Niektórzy mówili, że to już wrzesień. Wychudliśmy obaj. Takiego głodu nie zaznałem nigdy. Zawsze był chleb i gorąca zupa. Teraz suchary namoczone w wodzie. Często nie było wody. Musieliśmy starać się, by dostarczyć wodę do szpitala, który znajdował się w piwnicy.

Pewnego dnia otrzymaliśmy polecenie od mężczyzny w cywilnym ubraniu z opaską AK, który nam powiedział „ponieważ Niemcy otaczają Starówkę, trzeba ewakuować ludność cywilną. Wy dwaj jesteście rodziną i jeszcze życie, dostajecie zadanie – przeprowadzić te oto dziesięć pań z ośmiorgiem dzieci do śródmieścia.” Pokazując na Władka, ciągnął dalej „on Warszawę zna, pójdziecie na razie tymi ulicami, a potem tym włazem do kanału, a tu wyjdziecie już prawie bezpieczni, tu przez ulicę do piwnic domów.” Drogę pokazywał nam na planie. Łatwo było mówić komuś, kto zna Warszawę i wszystkie „tajne” przejścia Ale ja... nie znałem miasta, a tu jeszcze do jakiegoś kanału wleść... Był jednak Władek, mój rówieśnik... Poszliśmy, ja na początku, za mną kobiety z dziećmi, pochód zamykał Władek, który pilnował, by nam się nikt nie zgubił.

Doszliśmy do pierwszego włazu, którym po żelaznych szczeblach wszedłem do kanału.. Patrzę przed siebie, ciemno. Zapali-

łem świeczkę. Woda sięga mi po kolana, powietrze zaduszone, oślizgłe ściany no i pełno szczurów – na szczęści uciekają...

Kiwnąłem w górę – niech schodzą. Nie będę opisywał, jak odbywało się to zejście do kanału...

Jesteśmy już wszyscy w kanale... mamy iść przed siebie, ominać dwa włazy zachowując ostrożność i idealną ciszę, ponieważ Niemcy obserwują te włazy i, gdy usłyszą jakieś głosy, rzucają weń granaty. W ten sposób zginęło wielu walczących.

My, ostrzeżeni, zachowywaliśmy ciszę – tak doszliśmy do końca kanału. Wejście zakratowane. Wołam Władka, bo za kratą widzę wodę. „To jest Wisła” – mówi Władek. Okazało się, że pomyliłem drogę. Na szczęście doszedł do nas powstaniec w wojskowym mundurze, wyjaśnił, że mieliśmy minąć trzy wyjścia do włazów i skręcić w lewo i pierwszym włazem dostać się na górę. Szedł na tę barykadę, pocieszył nas, że to już blisko. Bezpieczni, pod jego opieką, doszliśmy do celu.

Nasz nowy opiekun wyszedł pierwszy, rozejrzał się i dał znak, że możemy wychodzić i szybko przejść na drugą stronę, do częściowo zburzonego domu. W piwnicy policzyliśmy swoich podopiecznych – byli wszyscy, zmęczeni, aż żal było patrzeć. O sobie nie myśleliśmy, czuliśmy się odpowiedzialni za nich. Tu, na świeżym powietrzu, doszliśmy do siebie i pomyśleliśmy, by zaopatrzyć się w wodę.

Wyszedłem z piwnicy – ze wszystkich stron, tak mi się wydawało, strzelanina, huk granatów i bomb. Niemcy zrzucali je na niedaleko ustawioną barykadę.

Postanowiłem dobiec do barykady, przypuszczając, że tam znajdę wodę. Schylony biegłem wzdłuż muru – udało się. Tu spotkałem znajomego z kanału. Wskazał mi między domami jedyny, czynny kran. Sam rzucił butelkę z benzyną na czołg, który akurat podjeżdżał pod barykadę. Zapalił się. Ja pobiegłem na podwórko, znalazłem jakieś pogniecione wiaderko, w którym przyniosłem wodę do piwnicy. Wszyscy zaspokoiliśmy pragnienie i poczuliśmy głód – zjadłem ostatni kawałek chleba.

Po pewnym czasie odwiedził nas w piwnicy żołnierz z AK wraz z dwoma harcerkami – sanitariuszkami. Sprawdziły, czy mamy rannych – na szczęście tylko jedna z pań miała startą nogę. Udzieliły jej fachowej pomocy (pamiętam imię tej poszkodowanej, bo miała takie, jak moja mama – Kasia).

Dowiedzieliśmy się też, że wkrótce przybędzie nowa grupa ze Starego Miasta i, że przyniosą ze sobą trochę żywności. Prosił nas, byśmy zaopiekowali się nowymi przybyszami a żywność rozdzielili sprawiedliwie. „Tak jest, panie poruczniku” zsalutowałem. Okazało się, że jest on sierżantem. (moja pomyłka nie była ważna – najważniejsze to to, że był przyzwoitym, odważnym człowiekiem). Za chwilę przyszli, przysłani przez niego chłopcy z kilofami i łomami. Mieliśmy przebić się do innej piwnicy, by powstańcy mieli możliwość ucieczki przed Niemcami. Wybiliśmy mały otwór – okazało się, że w sąsiedniej piwnicy znajdowali się powstańcy – było ich około dwudziestu – pomogli nam – dzięki temu zrobiliśmy duży otwór. Zaproponowali nam odgruzowanie wejścia do naszej piwnicy od podwórka. Szybko zabraliśmy się do roboty. Nowym wejściem dostaliśmy się na podwórko. Podwórko – tak zwana studnia – domy wkoło i brama wjazdowa. Zastaliśmy na nim cywilów, wśród nich wiele dzieci. Pomogli nam bardzo. Jedna z pań widząc moje porwane i śmierdzące krótkie spodenki dała mi nowe, swojego syna. Teren, na którym teraz znaleźliśmy się, był wolny od Niemców.

Po wykonaniu tej pracy otrzymaliśmy nowe zadania. My, harcerze Szarych Szeregów wykonywaliśmy powierzone nam zadania, mimo że często były one trudne. Władek, który znał Warszawę dostał meldunek, który miał dostarczyć pod wskazany adres, ja miałem rozwieszać plakaty na ścianach. Jak wyglądał taki plakat? Na środku trupia czaszka hitlerowca, na górze napis „jeden nabój”, u dołu „jeden szkop” – roznosiłem je, chodząc po ulicy i rozdawałem napotkanym, maszerującym powstańcom, którzy kierowali się na wyznaczone stanowiska, na barykady.

Ogrom zniszczeń, widok zabitych cywilów i dzieci już przestały robić na mnie wrażenie. Bałem się, nie myślcie, że byłem



bohaterem. Byłem tak samo głodny, jak inni, obawiałem się śmierci, którą można było spotkać w każdej chwili. Powstańcy, mimo bardzo trudnych warunków i zagrożeń bohatersko odpierali ataki Niemców na barykadach, czy bronili poszczególne domy czy podwórka. Gdy nosiłem wodę na barykady, widziałem niewiele starszych chłopców ode mnie, którzy rzucali butelki z benzyną na niemieckie czołgi [butelki z benzyną na czołgi rzucały też młode dziewczęta – przypis redakcji]. Rzucali je z okien zburzonych domów. Widziałem, jak trafiony czołg zapłonął – Niemcy, kryjący się za nim, wycofywali się. Jeden czołgista, wychodząc z palącego się pojazdu, zachwiał się i spadł. Pomyślałem sobie „jeden nabój jeden szkop” Barykada obroniona – na jak długo?...

Wierzyłem w zwycięstwo powstańców. Wróciłem na bezpieczne podwórko, aby, w miarę możliwości pomagać bezbronnym. Zastanawialiśmy się, jak długo wytrzymamy. Żywności było coraz mniej. Kończyły się zapasy w domach, a o jakiejś dostawie nie było mowy. Doszła do nas wiadomość, że z powodu braku ciężkiej broni padło Stare Miasto. Na Śródmieście przybywało coraz więcej cywili i wojskowych. Część z nich miała hełmy i broń niemiecką. Byli bardzo zmęczeni. Słyszałem, jak mówili, że brakuje amunicji, nie ma czym walczyć, ale Warszawa broni się, mimo, że to jest piekło na ziemi.

Dostałem rozkaz, by zanieść meldunek we wskazane miejsce. Otrzymałem szkic, jak tam się dostać i ostrzeżenie, że nie wolno mi zginąć, bo meldunek jest bardzo ważny.

Szkic był taki: „kanałem pierwszym minąć dwa wyjścia, wychodzić” (nie znałem Warszawy). Ruszyłem, wszedłem do kanału. Wcale nie lepszy od tego, znanego mi – szczury takie same, tylko ludności cywilnej więcej – gdzie się przepychają, a może chronią się, by przeżyć. Przeciskam się między nimi, aby szybciej dostać się na ten Mokotów. Jakiś starszy gość woła: „gdzie się przeciskasz?” „Przepraszam, mam pilny meldunek, muszę go dostarczyć” – usunął się, gdy poświecił latarką na moją opaskę, mruknął: „dzieci w tę wojnę wciągnęli”. Nie odpowiedziałem, przeszedłem obok niego do trzeciego wyjścia.

Po prętach podszedłem na płytę zamykającą właz, nie mogłem jej podnieść do góry tak była ciężka. Przez chwilę pomyślałem, że stoi na tej płycie Niemiec. Szybko odsunąłem tę myśl od siebie – poprosiłem mężczyzn stojących obok mnie, by pomogli. Gdy wy-dostałem się z kanału, okazało się, że jest spokojnie, wyszedłem do rowu łącznikowego, gdzie zastałem kilku powstańców – poszli oni ze mną do dowódcy. Przekazałem meldunek – podziękował i powiedział: „będziesz żołnierzyku wracał razem z nami”. Kazał mnie nakarmić – gdy najadłem się i zaspokoilem wodą pragnienie wyjąłem organki i zacząłem grać piosenkę „serce w plecaku” żołnierze zaczęli wtórować mi śpiewając. Na komendę „zbiórka” nastąpiła cisza. Komendant ogłosił wymarsz o godz. 14.00. Rozkazał zabrać wszystko, co będzie możliwe. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że to już trzeci miesiąc powstania, a nie ma ani zwycięstwa, ani zakończenia walki. Powstańcy opuszczali Mokotów i mimo, że wielu z nich było rannych – niektórzy mieli rękę na temblaku, inni zabandażowaną głowę, szli, by walczyć o wolność. Narzekali tylko na brak amunicji. Zatrzymali się przy jakimś domu, przy którym stała kobieta z opaską czerwonego krzyża. Była to lekarka, która mimo namowy dowódcy, nie chciała opuścić chorych. Zszedłem do piwnicy, zagrałem im na mojej harmonijce. Powstańcy, z którymi szedłem ruszyli w dalszą drogę, ale przez podwórka, między gruzami domów. Pani doktor powiedziała” no, leć żołnierzyku, bo się zgubisz, oni poszli tam” – wskazała mi ręką drogę. Dogoniłem grupę, zatrzymali się na podwórku, na którym było wielu cywiliów. Nagle usłyszeliśmy wybuchy granatów i długie serie pistoletów maszynowych, po krótkiej przerwie usłyszeliśmy długą serię z kierunku, który opuściliśmy. Z rąk bandytów zginęła doktor Ewa z rannymi, którymi się opiekowała.

Już ruszaliśmy w dalszą drogę. Nagle do dowódcy przybiega łącznik i melduje: „podpisano kapitulację Powstania – należy wychodzić na ulice, w kierunku dworca centralnego i Alei Jerozolimskich. Tam nastąpi składanie broni”. Kolejki były długie – jedna dla Akowców, którzy składali broń, druga – to cywile – kobiety

z dziećmi – przechodzili obok nas, chciałem do nich dołączyć – nie udało się – miałem opaskę – Niemiec cofnął mnie do grupy powstańców.

Powstańcy, którzy już zdali broń i zostali zrewidowani, byli dołączeni do innych grup. Wśród nich spotkałem Władka. Żyje! Przeżyliśmy obaj te naprawdę ciężkie dni dla Warszawy, a przecież wielu powstańców zginęło. Teraz kombinuję, jak uciec – to jednak jest nie możliwe – za duża obstawa... Po zdaniu broni Niemcy odprowadzili powstańców do samochodów i odwieźli na dworzec kolejowy, gdzie umieścili nas w wagonach towarowych. Szukam Władka, okazuje się, że jest w drugim wagonie. Proszę Niemca, by pozwolił mi przejść do mnie, bo to mój brat. Niemiec odpowiada krótko: *nein* – i znów jesteśmy rozdzieleni... Nie bałem się, ani o niego, ani o siebie – te śmierteczne dni, pełne grozy zahartowały mnie – byłoby nam jednak razem różniej.

Przed wieczorem pociąg ruszył. Zatrzymał się dopiero w Pruszkowie. Usłyszałem, jak mówiono w wagonie, że tu jest obóz przejściowy, z którego wysyłają w różne strony – jednych do pracy, innych do obozów koncentracyjnych, a jest to przede wszystkim uzależnione od woli „panów świata”. Nas nie wysadzili, otworzyli tylko drzwi wagonów i pozwolili dać nam chleb i wodę. Niewiele widziałem, było ciemno... Rano ruszyliśmy w dalszą drogę do Reichu. Gdy pociąg zatrzymał się, kazali nam wysiąść. Rozglądałem się za Władkiem, wołałem, ale go nie było. Patrzę na nazwę stacji – Bremervorde – niektórzy zapisywali. Szliśmy długo, przebyliśmy chyba 10-12 km. Czułem to w nogach. Przeprowadzili nas do obozu jenieckiego „Sandboster”. Było tam wielu jeńców, prawdopodobnie z różnych frontów.

I tak harcerzyk z Gostynina stał się jeńcem wojennym – Kriegsgefangener.

Wydawało mi się, że tak niedawno, bo w 1939 roku, widziałem w Gostyninie jeńców – żołnierzy polskich, prowadzonych ulicą Długą, przy której mieszkałem.